

BARBARA HOLLENDER

Szczupła, energiczna, obciste dżinsy, długie włosy. Nikt by nie uwierzył, że właśnie kończy 58 lat. Ona sama nie zwraca uwagi na cyfry. Beata Poźniak czuje się spełniona: jako aktorka, artystka, kobieta.

ZACHWYCONY OLIVER STONE ROZBUDOWAŁ MOJĄ ROLĘ

Zapracowałam sobie na to, że nie muszę już nikomu niczego udowadniać – mówi mi Beata Poźniak. – Nie boję się porażek ani ryzyka, chcę stale robić nowe rzeczy. Bo życie jest krótkie.

Ma za sobą współpracę z legendami: Oliverem Stone’em, George’em Lucasem, Rogerem Cormanem, telewizyjnym potentatem Aaronem Spellingiem.

Dziś mieszka w Los Angeles, ale nie odczuwa presji, by być celebrytką czy robić filmową karierę za wszelką cenę. – Nie przyjmuję każdej roli, którą mi proponują – twierdzi. W tym roku przyjęła dwie, w filmach fabularnych – „Garecie Jonesie” Agnieszki Holland i nowej superprodukcji jednego z wielkich studiów (jeszcze nie ma prawa ujawniać szczegółów). Jednak zastrzega się: – Jeśli czytając scenariusz, nie poczuję dreszczy, odmawiam, nie chcę się spalać. Aktorstwo jest dla mnie ważne, ale to tylko jedna z wielu form ekspresji, gdzie można odnaleźć się od nowa.

Zaczęła reżyserować: robi filmy ciekawe, eksperymentalne. Piszze poezję, jej wiersze zostały niedawno przetłumaczone na język armeński. Nagrany przez nią zbiór opowiadań „The Tsar of Love and Techno” w prestiżowym rankingu „The Washington Post” został uznany za najlepszy audiobook roku 2015. Ma w domu pracownię: maluje, rzeźbi, robi fantastyczne maski. Przez jakiś czas wykładała na UCLA i prywatnym USC (University of Southern California), działa charytatywnie, wspierając m.in. szpital dziecięcy w Los Angeles.

– Interesuje mnie życie, a czy doświadczam go przez malarstwo, aktorstwo, poezję, podanie komuś ręki w szpitalu, nie ma różnicy. Ważne, by na koniec móc spojrzeć w lustro. Czytałam kiedyś wyniki badań socjologicznych przeprowadzonych wśród starszych ludzi. Niezależnie od pozycji społecznej, zamożności, poziomu wykształcenia, na pytanie, czy istnieje coś, co by zrobili inaczej, gdyby mogli zmienić swoje życie, niemal wszyscy odpowiadali podobnie: „Żałuję, że nie miałem więcej odwagi, by być sobą. Żyć w zgodzie z własnymi zainteresowaniami, a nie z oczekiwaniami innych”. Wciąż się boimy, że nie sprostamy powszechnym wyobrażeniom o sukcesie. W kinie przekłada się to na realizowanie kolejnych części hitów. Ja tak nie chcę. Dlatego stale ryzykuję.

Nazywali mnie Pippi

Urodziła się w Gdańsku, w rodzinie lekarskiej. Matka pracowała w spółdzielni inwalidów, zajmowała się osobami niepełnosprawnymi. Ojciec też był lekarzem. Zostawił żonę i córkę, gdy Beata miała dwa lata. Cztery lata później, po rozwodzie, w ogóle zniknął z ich życia. Ciotka i wujowie również byli lekarzami. Beata uznała, że ma ten zawód w genach. W gdańskim liceum wybrała klasę o profilu biologiczno-chemicznym, ale nie znosiła tych przedmiotów. Za to kochała teatr, taniec, brała udział w konkursach recytatorskich. Założyła w szkole zespół taneczny, w konkursie organizowanym w Teatrze Baduszkowej zdobyli pierwsze miejsce.

– Wszyscy mówili, że będę aktorką – wspomina. – Nazywali mnie Pippi Langstrumpf, Anią z Zielonego Wzgórza, ale też Marchewą, bo byłam rudzielcem.

Kiedy powiedziała, że chce zdawać do łódzkiej Fil-

mówki, matka stwierdziła: „Próbuj, ale nie myśl, że zdasz”. Wiadomo, konkurencja duża, a wtedy dodawały punkty za pochodzenie, których ona nie miała.

Uparła się jednak, pojechała do Łodzi. I dostała się. Szybko zadebiutowała na ekranie, grając Todzie w „Życiu Kamila Kuranta”, potem przyszedł „Szczęśliwy brzeg” ze Stanisławą Celińską, Wojciechem Pokorą i Jerzym Bińczyckim. Z Michałem Bajorem śpiewała poezje Gałczyńskiego. Ale w szkole miała kłopoty. Koledzy się od niej odsunęli, nikt nie chciał robić z nią scenek. Groziło jej wyrzucenie z uczelni. Dziekan nie krył: „Albo studiujesz, albo jesteś gwiazdą”. Po drugim roku poprosiła więc o indywidualny tok nauki i dyplom robiła w Teatrze Wybrzeże. W „Vatzlavie” Mrożka, którego premiera odbyła się już w stanie wojennym, w czerwcu 1982 r., zagrała Justynę.

– Pamiętam, jak cenzorka stwierdziła, że mój ojciec w spektaklu nie może mieć brody. Nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem. „Co pani myślała, że jestem głupia, że ja tego nie rozumiem? Przecież on przypomina Karola Marksa” – zaczęła krzyczeć kobieta.

Następna sztuka, którą zaliczono jej w szkole jako dyplom, był „Pan Damazy” w Bim-Bomie.

– Jerzy Afanasjew łamał konwencje, grał symboliką, rozmawiał z publicznością ponad głowami cenzorów – mówi aktorka. – Dzięki niemu zrozumiałam, że tradycyjny teatr można robić w nietradycyjny sposób. Te polskie początki wpłynęły na mój sposób myślenia. Nie tylko jako aktorki.

Później jeszcze przyszło zafascynowanie Josephem Campbellem. – To filozof, który stał się dla mnie ważny. Moje rzeźby w glinie ceramicznej, marmurze, alabastrze są dziś symboliczne, mają ukryte sensy. Wykorzystałam też ten sposób odbierania świata w moim krótkim filmie „Mnemosyne”.

Skończyła szkołę z wyróżnieniem, a po studiach trafiła do warszawskiego Teatru Współczesnego. Pierwszą sztuką, w jakiej się pojawiła, było „Jak się kochają”, gdzie partnerowała Zofii Kucównie, Czesławowi Wołlejce, Wiesławowi Michnikowskiemu. Ale łatwo nie było. Za miesięczną pensję mogła kupić garść winogron, a dyrektor Maciej Englert nie chciał jej zwałniać do filmu. – Mówił, że mam się szkolić jak Helena Modrzejewska i do kina puścić mnie dopiero po latach – wspomina. – A ja nie miałam finansowego zaplecza, było nam z mamą ciężko.

Andrzej Wajda, który dał jej małą rolę pokojówki Zosi w „Kronice wypadków miłosnych”, radził: „Beata, ja jestem patriotą. Ale ty wyjeżdżaj”. Napisał jej list polecający. Polecała do Nowego Jorku. Odnalazła tam ojca. Przeżyła rzycharowanie, ale postanowiła zostać. Zarabiała na życie jako modelka – pozowała malarzom, brała udział w sesjach zdjęciowych. I poszła na casting.

– W Polsce nie było jeszcze wtedy agentów czy menedżerów, byłam ciekawa, jak to funkcjonuje – mówi. – A w tamtym czasie można było jeszcze szukać pracy w prasowych działach ogłoszeń. „Oddam psa”, „Kupię mieszkanie”, „Sprzedam samochód”, a obok „Zatrudnię aktora”. Pomyślałam: „Zobaczę”. Ktoś potrzebował wykonawców do sztuki opartej na autentycznej historii o brutalności nowojorskiej policji.

Zgłosiła się i... dostała główną rolę. Ale Nowy Jork był miastem Broadwayu, reklam, tańca. A ona chciała być bliżej kina. Pojechała do Los Angeles. W pierwszym tygodniu spotkała Kazimierza Brauna, który robił tam „Szewców”. Dał jej rolę. Była jedyną Polką w amerykańskiej obsadzie.

Uświadomiła sobie, że daleko od Polski wciąż szuka własnej tożsamości. Zaczęła pisać sztuki, reżyserować, stworzyła własny, eksperymentalny teatr, gdzie bawiła się światłem i słowem. Nazwała go „Discordia”. – Znalazłam emigrantów, którzy jak ja cenili wolność – mówi. – Z powodów politycznych nie mogli wydać swoich wierszy w Chinach czy Palestynie. Ja je złożyłam razem i napisałam sztukę „Politicus umbilicus” odwołującą się do różnych tradycji i kultur. Zatrudniłam do niej głuchonieme aktorki. Ludzie polityki, kultury, nauki też na pewne tematy są głusi. Więc ten spektakl miał wymiar symboliczny. I poszło w świat, że Poźniak wymyśliła nowy nurt w teatrze.

Jej „Discordią” zainteresował się Peter Sellars. Namówił na zrobienie kolejnego przedstawienia, które potem pokazał na swoim festiwalu teatralnym. „Discordia” stała się znana, miała dobre recenzje, CNN poświęciło jej materiał w wiadomościach. Ale ona, po kilku premierach, wciąż nie mogła z tego wyżyć.

– Pomyślałam: jestem w Hollywood, muszę spróbować swoich sił w telewizji, filmie. Żeby być samodzielną, mieć na czynsz – wspomina. – Zobaczyłam ogłoszenie, że szukają kandydatów do telewizyjnej gry „Sweethearts”. Były tam trzy pary, w tym jedna prawdziwa. Jury musiało zdecydować którą. Ja, ze swoim partnerem, byliśmy tak przekonujący, że wygraliśmy i zarobiłam pierwsze duże pieniądze. 1500 dolarów. Wtedy to było coś.

Znajomość z żoną Oswalda

W tym samym czasie dowiedziała się, że będzie powstawał „JFK”, film Olivera Stone’a o zabójstwie prezydenta Kennedy’ego. Produkcja owiana była tajemnicą, ale w prasie branżowej ukazywały się informacje, że gwiazdy, Walter Matthau, Donald Sutherland, Jack Lemmon, wystąpią w epizodach. – Każdy chciał w tym filmie choćby przemazać się przez ekran – mówi Poźniak. – Wiedziałam, że nie mam żadnej szansy, ale chciałam choć zobaczyć, jak to wygląda.

Dużo mówiło się o roli Mariny Oswald. Beata postanowiła się zgłosić. Nie wychodziła z biblioteki, czytała wszystko, co się dało, o Johnie F. Kennedym, o tragedii w Dallas. Przestudiowała 26 tomów z komisji Warrena, każdy artykuł w „Timesie” czy „Newsweeku”, z Waszyngtonu sprowadzili jej jakieś dokumenty. Chciała wiedzieć, jak Marina się zachowuje, jak mówi, jaki ma temperament. Znajomego fotografa poprosiła, żeby zrobił jej zdjęcie, na którym wyglądałaby jak ona. Wysłała je do produkcji „JFK” razem z fotografią Oswalda.

– Miałam szczęście, bo CNN nadał reportaż z „Discordii” w tym samym dniu, co materiał, w którym Oliver Stone wypowiadał się o „JFK” – wspomina. – Nie byłam dla castingowców zupełnie anonimowa. Zadzwonili.

Przed przesłuchaniem nie dostała kartek z tekstem i jak wszyscy musiała podpisać, że nie wolno jej opowiadać o filmie, nawet o castingu. Marina pali, więc weszła do pokoju z papierosem. Posadzili ją przy stole i natychmiast zaczęli bombardować pytaniami jak na przesłuchaniu w FBI: „Gdzie poznałaś Lee? Kiedy go widziałaś ostatni raz? Klóćcie się? Jak byłaś wtedy ubrana?”. Wiedziała wszystko: że pobrali się 30 kwietnia, że Marina zawsze chciała być podobna do Brigitte

Bardot, że miała czerwoną sukienkę, włosy spięte do góry. Gdy mówiła o jakimś wydarzeniu, ktoś rzucił: „Gdzie był w tym czasie Lee?”. Odpowiedziała: „Alik był w domu”, bo Marina tak nazywała męża. Zachwycili się jej przygotowaniem.

– Ale byłam znikąd, bez znanego nazwiska – mówi. – Nie miałam wielkich nadziei.

A jednak po miesiącu zaproszono ją na próbne zdjęcia, już ze Stone’em. Powiedziano jej, że jeśli przetrwa dwie minuty w jego biurze, to będzie sukces. – Przede mną było ze 20 osób – opowiada. – Pomyślałam: mam minimum godzinę. Wyszłam na chwilę, wracam po 20 min, a tam już tylko trzy osoby. Więc jednak prawda. Dosłownie co chwilę: „Next! Next! Next!”. Oliver Stone nie ma czasu. Spójrzy i w ciągu kilku sekund wie, czy mu pasujesz do roli. Ma szósty zmysł, wszystko przeświecła.

Porozrzucane papiery reżysera

Gdy weszła do pokoju, spojrzał tak, jakby ją filmował: „Zrób to samo, co zrobiłaś na zdjęciach próbnych”. Reżyserka castingu zaczęła krzyczeć agresywnie, tak jak Lee: „No to gdzie byłaś!? Gdzie?!”. Beata improwizowała, tłumaczyła, że poszła dokądś z dziećmi. Stone przerwał: „Za dobrze mówisz po angielsku”. „No, me little English” – poprawiła się. Ale jemu ciągle coś nie pasowało. „Za grzeczna jesteś. Oni się kłócą – mówi. – Więcej pasji, agresji. Przecież wy, ze wschodniej Europy, macie temperament”. Zaczęła drzeć się: „To ty stale wychodzisz, wracasz nocą. Tu nie ma nawet jedzenia!”. Z jego biurka zgarnęła scenariusze, książki, zaczęła nimi rzucać, cały czas się awanturując.

– Stone tylko patrzył – wspomina. – Przestraszyłam się, bo porozrzucałam wszystkie jego papiery, notatki. Wyszłam, cała się trzęsąc. Ale spojrzałam na zegarek: 12 min. I to był pierwszy sygnał, że może nie jest źle. Dopiero miesiąc później ktoś do mnie zadzwonił.

Zaangażowano do filmu wiele gwiazd, więc w niektórych rolach mogli obsadzić aktorów nieznanych. Na kolejnych próbnych zdjęciach, już w biurze Warner Bros., partnerował jej Gary Oldman. Dostała rolę i zlekła się: miała zagrać prawdziwą, żyjącą osobę. Wielka odpowiedzialność. Marina Oswald nadal mieszkała w Dallas, ale nie chciała mieć z filmem nic wspólnego. Beata spytała Stone’a, czy może sama do niej napisać. Odpowiedział: „Good luck”. Powodzenia. Po długim milczeniu odezwał się rzecznik prasowy Mariny. Zaproponował półgodzinne spotkanie w Dallas.

– Ekipa Stone’a zdębiała – opowiada. – Dostałam bilet na samolot w pierwszej klasie, luksusowy hotel, limuzynę. Ja, aktorka znikąd. Przeżyłam szok. A potem było spotkanie. Sporo osób, wszyscy siedzą, ona jedna stoi. Piękna kobieta, krótkie rude włosy. W dłoni papiros. Od razu zmierzyła mnie wzrokiem: „No, jesteś ładna, możesz mnie zagrać” – powiedziała. Bardzo chłodno. Jakaś kobieta pyta: „Mogę zrobić zdjęcie? Czuję się przy tobie, jakbym była z mamą”. To była jej córka. Ale jak zacząć rozmowę? Wyciągnęłam z torebki pocztówki i zdjęcia z mojej wycieczki do Leningradu. Wiedziałam, że tam Marina poznała Lee. Zaczęła oglądać te fotografie i widziałam, jak jej twarz się zmieniała, miękła. „Na jak długo przyjechałaś? – pyta. – Może spotkamy się jutro na lunchu?”.

Następnego dnia zjadły razem obiad, pogadały bez świadków, Marina zaproponowała: „Masz tyle pytań, wprowadź się do mnie”. Beata mieszkała u niej dwa miesiące. Czytały Lermontowa i Puszkina, sadziły w ogródku rośliny. – Stone był zachwycony, rozbudował moją rolę – opowiada. – Przygotowywałam się do tego epizodu sześć miesięcy. Wielokrotnie spotykałam się z prokuratorem Garrisonem i z przyjaciółmi Oswaldów. Coś takiego rzadko się aktorowi zdarza.

To wszystko zaowocowało, zwłaszcza że okazało się, iż większość jej scen była improwizacją: – Zaglądam w scenariusz, a tam: „Marina i Lee na przyjęciu. Improwizacja”. Kilka stron dalej: „Marina i Lee kłócą się. Improwizacja”. Grający mojego męża Gary Oldman tylko pytał: „Beata, co my gramy?”.

Ten system pracy nie był jedynym powodem jej zdziwienia. W czasie realizacji film otaczała całkowita tajemnica. Scenariusz dostało tylko sześciu wykonawców: Kevin Costner, Sissy Spacek, Joe Pesci, Gary Oldman, Tommy Lee Jones i ona. Podpisali zobowiązanie, że nie pokażą tekstu nikomu, nawet innym aktorom. A dziennikarze próbowali zdobyć informację różnymi drogami. Podsluchy były wszędzie. Kiedy chcieli coś

ustalić z Kevinem Costnerem, który grał prokuratora Garrisona, szli na plażę. Podobnie zresztą jak z samym Garrisonem. Na planie tego filmu była osiem miesięcy. – To była mała rola, a ja pracowałam od kwietnia do grudnia. Wracałam na chwilę do domu, a potem znowu mnie zapraszali na zdjęcia. W grudniu wyszedł „Harper’s Bazaar” z moim zdjęciem z Garym Oldmanem, wtedy dopiero pozwolono nam reklamować film.

Amerykańska premiera „JFK” odbyła się w grudniu 1991 r. – Wielu ludzi myślało, że w sekwencjach z Mariną wykorzystaliśmy ujęcia dokumentalne. A jak się dowiadawali, że zagrała ją aktorka, posypały się dla mnie propozycje zagrania Rosjanek. Przychodziłam na spotkanie z producentem, a on pytał: „Przepraszam, czy ty umiesz mówić z akcentem? Takim twardym, rosyjskim”.

Były też inne propozycje. Przede wszystkim od samego Stone’a. Jeszcze nim kończyli „JFK”, reżyser rozmawiał z nią o roli w „Noriedze”. U boku Ala Pacino miała zagrać kochankę dyktatora – kobietę elegancką, pewną siebie, która okazywała się potem manipulatką i narkomanką kradnącą pieniądze. Ale szefowie Warner Bros. przestraszyli się tego filmu, stwierdzili oficjalnie, że jest za drogi. „Noriega” nigdy nie powstał. Za to Beata trafiła na plan serialu „Dzikie palmy”, który Stone produkował. To były cztery odcinki, każdy wyreżyserowany przez innego artystę, m.in. Kathryn Bigelow, późniejszą laureatkę Oscara. Beata była tam... Japonką, opiekunką dzieci Belushiego. Wystąpiła też w kilkunastu innych, popularnych w Stanach seriach. Wspomina, jak zaprosił ją na rozmowę Aaron Spelling. Telewizyjny potentat, którego nazywano Mr Television. Robił wtedy „Melrose Place”.

Sześciu panów na kanapie. Spelling mówi: „Napiszemy dla ciebie rolę. Co chciałabyś zagrać?”. „Lubię mocne kobiety, które mają coś do powiedzenia. Niezbyt dobrze się czuję w rolach landrynkowych panienek” – odpowiedziała. Ktoś spytał: „A widziałas ten serial?”. „Tylko kilka odcinków” – przyznała.

Wróciła do domu, myśląc, że ma przechlapane. Ale tydzień później dostała ogromną paczkę VHS-ów z



ANDRZEJ WAJDA RADZIŁ:

„BEATA, JA JESTEM PATRIOTĄ.
ALE TY WYJEŹDŻAJ”.

I NAPISAŁ JEJ LIST POLECAJĄCY

odcinkami „Melrose Place”, a scenarzyści Spellinga wymyślili dla niej postać lekarki, która ma dziecko z poprzedniego związku i wychodzi za mąż za geja.

– To był rok 1992 i pierwszy niekomediowy serial, w którym pojawiło się takie małżeństwo – wspomina. – Dostaliśmy od widzów mnóstwo podziękowań. A Spelling śmiał się: „Widzisz, Beata, masz to, czego chciałaś”.

Grać postaci niejednoznaczne

Producenci przyzwyczaili się, że Poźniak lubi postacie niejednoznaczne, „inne”. W „Kronikach młodego Indiany Jonesa” zagrała rewolucjonistkę usiłującą obalić rząd, w „JAG. Wojskowym Biurze Śledczym” podwójną agentkę, która pracuje dla Mosadu i CIA, a jej życiowym partnerem jest Afroamerykanin. W latach 90. to była odważna rola. W serialu „Babilon 5”, którego akcja toczyła się w roku 2029, stworzyła postać pierwszej kobiety – prezydenta świata.

Ta ostatnia propozycja nie była przypadkowa. To był czas, gdy Beata Poźniak walczyła w Stanach o pozycję kobiet. Narodowy Dzień Kobiet po raz pierwszy obchodzone właśnie tam w 1909 r., ona niemal 90 lat później optowała na rzecz międzynarodowego Dnia Kobiet w Kongresie i Senacie.

– Pisano o tym na pierwszej stronie „LA Times”, informacje o moich rozmowach w Kongresie były w „Washington Post” i w internecie – mówi. Producenci „Babilonu 5” zobaczyli te materiały i pod nią napisali rolę. Chcieli, żeby zagrała dojrzałą, silną kobietę w stylu Margaret Thatcher.

W serialach nauczyła się szybko pracować: odcinek „Melrose Place” kręcili 8–10 dni, ale już „Babilon 5” dużo szybciej. Ta umiejętność przydała się przy filmie „Ene-

my Action” Briana Katkina, wyprodukowanym przez legendarnego Rogera Cormana. Zdjęcia do tego kina akcji, w którym Poźniak grała główną rolę kobiecą, trwały zaledwie 16 dni.

W kraju reżyserzy o niej zapomnieli. Zdecydowała się zagrać w „Złotopolskich”, gdy zaproponował jej to producent Marian Terlecki. Przyjechała do Polski z małym synem, zapisała go do przedszkola, chciała, żeby Rylan miał kontakt z żywym językiem polskim. A gdy maluch bawił się z innymi dziećmi, ona grała. Miało być osiem odcinków, zrobiło się kilkadziesiąt i trzy sezony (2005–2007). Wystąpiła też w Teatrze Telewizji, w śpiewogrze Barbary Borys-Damieckiej. Twórcy „Ojca Mateusza” napisali dla niej rolę gwiazdy z Hollywood.

Dzisiaj gra rzadko. Wystąpiła w krótkim filmie „All these voices” Davida Henry’ego Gersona, który zdobył studenckiego Oscara. Do przyjęcia roli reżyser przekonał ją rozmową o Kantorze, Grotowskim. Zainteresowało ją pokazanie aktorów, którzy przetrwali Auschwitz. Ich ciało nie umarło, ale co z duszą? Jak po tym, co zobaczyli i przez co przeszli, wyjść na scenę i grać?

– David pojechał do Polski odszukać swoje korzenie, zrozumieć dziadka, który przeżył Auschwitz. „All these voices” to owoc tej podróży – mówi Poźniak.

W tym miesiącu z radością wróciła na plan w Krakowie. W polsko-brytyjskim „Garretcie Jonesie” Agnieszki Holland gra postać zainspirowaną losami autentycznej kanadyjskiej dziennikarki żydowskiego pochodzenia, Rhei Clyman, która na początku lat 30. opisywała sytuację na Ukrainie, pojechała też obejrzeć łagry. Wyrzucono ją z Ukrainy za „przekazywanie nieprawdziwych informacji na temat ZSRR”.

– Była sierotą, od dziecka kaleką, straciła nogę w wypadku samochodowym, potem przeżyła wypadek samolotowy, ale miała nieprawdopodobną siłę – mówi Poźniak. – Bardzo lubię takie kobiety, lubię też uczyć się przy filmie. Ciekawa jest współpraca z Agnieszką. Mam wrażenie, że grając tę rolę, choć jest to epizod, składam hołd samej Rhei, która nie ma nawet grobu, ale i wszystkim niezwykłym kobietom, które ryzykowały życiem, żeby głosić prawdę, a zostały zapomniane.

Teraz czeka na rolę w wielkim przeboju amerykańskim, gdzie zagra po raz pierwszy czarny charakter, jak mówi „złą babę”. To dla niej powrót, bo w ostatnich 15 latach, jak mówi, wołała żyć, niż powiełać podobne role.

Ma mnóstwo pasji. Malowanie. Rzeźbę. Pisanie. Reżyserowanie. Wychowana w Polsce, w komunizmie, nauczyła się operować symbolem. Wykorzystuje tę umiejętność jako plastyczka robiąca maski z piór, czy rysując kobietę, która siedzi w wielkim jajku, a zamiast pępowiny ma taśmę filmową. Myśli też symbolami jako reżyserka. Jest dumna ze swoich eksperymentalnych krótkich filmów. Na początku wieku zrobiła „Mnemosyne”, gdzie prowadzona przez Matkę Pamięci szła przez pełen chaosu świat, któremu sens nadaje sztuka.

– Tytułowa postać to w greckiej mitologii żona Zeusa i matka wszystkich muz – mówi. – W moim filmie doświadczamy rzeczywistej podróży ludzkiej rasy, badamy, czym możemy się stać. Naszym przewodnikiem jest pamięć. Obraz jest holdem dla energii, siły, indywidualności. Przeprowadź przez świat piękna, chaosu i okrucieństwa.

Beata robiła ten film, będąc w ciąży. Ostatnim kadrem stało się USG jej syna. A cztery lata temu zrealizowała „Ludzi na moście”. – Chciałam znaleźć projekt, który połączyłby Polskę i Stany – przyznaje. – Wychowałam się na wspanialej polskiej literaturze. Chciałam się nią pochwalić.

Sięgnęła po wiersz Wisławy Szymborskiej, dostała od niej pozwolenie, żeby przetłumaczyć go na angielski. Noblistka zainspirowała się XIX-wiecznym japońskim drzeworytem Hiroshige Utagawy zatytułowanym „Ludzie na moście”. Podobnie jak przed nią van Gogh, który namalował olejną kopię dzieła Japończyka. Poźniak jako pierwsza pokazała to na ekranie. Sfilmowała obrazy ludzi kryjących się bądź uciekających przed rześistym deszczem. Łódź płynącą po rzece. Przede wszystkim jednak połączyła w filmie różne miejsca, epoki, kultury. Szymborską, Utagawę i van Gogha. Przywołała filozoficzną refleksję o uwiecznieniu w czasie.

– Gdy wysłałam film na festiwale, nikt nie wiedział, co z nim zrobić. Bo to ani dramat, ani animacja, ani dokument, ani fabuła – śmieje się. A jednak „Ludzie na moście” obejdzili cały świat. Byli m.in. w Grecji, Szwecji, Indiach, Kanadzie.

Inny jej powód do dumy to audiobooki. Redaktorzy słynnego wydawnictwa Random House kilka lat temu zaproponowali jej nagranie książki Evy Stachniak „The Winter Palace: A Novel of Catherine the Great”. – Byłam zaskoczona – mówi. – W Stanach są specjaliści od audiobooków, ale producentka powiedziała, że zobaczy-



AGATA DYKA/REPORTER

ła mnie w „Babilon 5” i uznała, że będę do tej książki pasować.

Najpierw sprawdzić się w zawodzie

Czytając, zagrała aż 78 postaci. Gdy audiobook stał się bestsellerem, zaproponowano jej nagranie „Empress of the Night: A Novel of Catherine the Great” tej samej autorki. Potem był już uznany przez „Washington Post” za audiobook roku 2015 zbiór opowiadań „The Tsar of Love and Techno” Anthony’ego Marry’ego i rola lekarki w audiobooku „The Illuminae Files” Amie Kaufman.

Nie ukrywa, że interesują ją nowe technologie, internet, VR – wirtualna rzeczywistość. Wszystko, co inne, nowe, mało odkryte. A jest jeszcze życie codzienne. Beata lubi i ceni swoją prywatność. Stabilny dom, mąż ten sam od 17 lat – znany architekt unikający zgłosu.

– Zawsze chciałam najpierw sprawdzić się w swoim zawodzie, zanim wyjdę za mąż. Sama do czegoś dojść, niczego nikomu nie zawdzięczać, ale też nie musieć żyć światem mężczyzny. Pomyślałam, że jak się z kimś zwiąże, to jako równoważna partnerka z własną pozycją – mówi.

Najpierw się przyjaźnili. Imponował jej intelektualnie, chodzili na wystawy, na spotkania i wykłady na uniwersytetach. A nagle, po dziesięciu latach znajomości, coś zaiskrzyło. Stworzyli fajną rodzinę. Dziś Beata dba, żeby ich syn Rylan miał kontakt z Polską. W domu mówi się po angielsku, ale chłopiec chodził do polskiej szkoły i zdał państwowy egzamin z ojczystego języka matki.

– Opowiadałam mu, jak pięknie pachną w Polsce drzewa, jak kwitnie jarzębina. Mówię mu o naszej kulturze, muzeach, filharmoniach, pokazuję polskie filmy. Europa to zupełnie inny świat niż Hollywood. W Stanach nikt nie zna europejskiej sztuki. Kocham swoje powroty do Polski, ale najbardziej lubię przyjechać z Rylanem, pokazać mu stare kąty, ulice, na których wyrosłam. Mówię, jak bardzo kraj się zmienił. A on lubi te podróże. W Stanach uczniowie mają wybór, czy uczą się tylko historii amerykańskiej, czy również europejskiej. Uzasadniając swój wybór, Rylan napisał: „Mam korzenie w Polsce, w Europie i jestem z tego dumny”.

Pytam Beatę, jak ona, zdeklarowana feministka, czuje się dzisiaj w Hollywood, w atmosferze #metoo.

– Wiele lat walczyłam, żeby rozmawiać o traktowaniu kobiet, o naszych stawkach, które są zupełnie inne niż robiących to samo mężczyzn – mówi. – Dobrze, że aktorki zaczęły głośno mówić o molestowaniu. To naprawdę było nagminne. Dlaczego tak często byłyśmy zapraszane do hotelu, a nie do biura? Sama nieraz zetknęłam się z grubiańskimi zachowaniami i uciekałam z takich „castingów”, tracąc oczywiście rolę. Teraz wybuchł wulkan. I dobrze, trzeba o tym mówić.

Pożniak mocno podkreśla, że to, co stało się w Hollywood, to wierzchołek góry lodowej. Bo to problem nie tylko świata artystycznego. Kobiety, choć świat szczeni się nowoczesnością, wszędzie są nierówno traktowane. W niemal każdym zawodzie.

Marzenia? Ma ich mnóstwo. Jej prace plastyczne wiszą w domach wielu znanych osób, były też prezentowane na wystawie Art and Democracy w bardzo prestiżowym miejscu – Bergamot Station w Los Angeles. Beata myśli o nowej ekspozycji.

Chce dalej walczyć o prawa kobiet. Także w sztuce. Ma kilka pomysłów. W czasie wojny mężczyznom służyły jako tzw. comfort women. Nikt tego nie opisał, nie opowiedział.

– Pomyślałam: jeśli nie mogę opowiedzieć ich historii w filmie, zrobię to w sztuce, sama – mówi. – Kiedyś też poznałam dziewczynę, która została wyswatana jako „picture bride”. Ojciec wysłał jej zdjęcie, zmuszono ją do małżeństwa z nieznanym człowiekiem. Nie wolno nam zapomnieć, gdzie byliśmy i gdzie jeszcze stale jest wiele z nas.

Teraz przygotowuje książkę, którą zadedykuje kobietom. Beata pokazuje mi zdjęcia kobiety w maskach, które sama zrobiła. Każda maska ma swój początek w jakimś archetypie. Wciąż szuka nowych sposobów wyrażania siebie. Niedawno, w czasie pobytu w Polsce, poprowadziła master class dla studentów łódzkiej Filmmówki. Poprosiła, żeby wymienili pięć swoich najlepszych cech. Byli zaskoczeni.

– Tradycja ukształtowała nas tak, że łatwiej nam powiedzieć, co jest w nas nie tak, niż znaleźć w sobie pozytyw – mówi.

– A co ty byś sobie sama odpowiedziała? – pytam.

– Myśląc, starając się stale szukać siebie, odważna, miła i otwarta. Tak, najważniejsze jest chyba to, że jestem otwarta na ludzi, na życie. ©